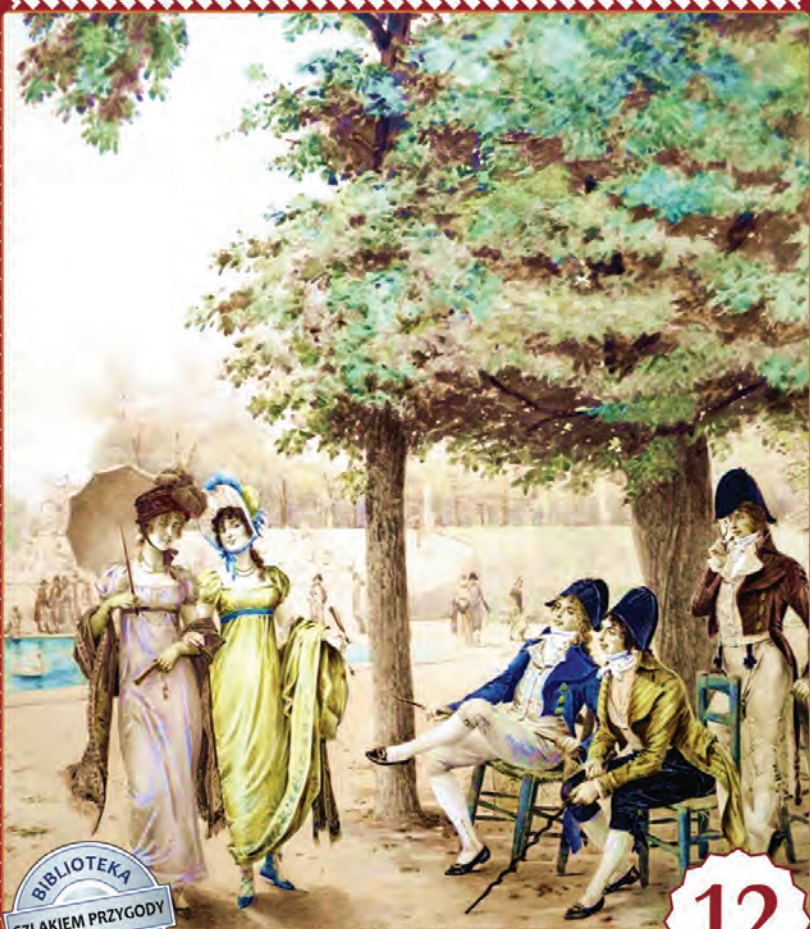




Aleksander Dumas ojciec
BIALI I NIEBIESCY

Tom 2

Pierwsza część cyklu „Sainte Hermine”



12

ISBN 978-83-65753-10-6 (całość)
ISBN 978-83-65753-12-0 (tom drugi)

Biblioteka Andrzeja
– Szlakiem Przygody

Aleksander Dumas ojciec

BIALI I NIEBIESCY

Tom 2



Aleksander Dumas (1802-1870), wnuk markiza Davy de la Pailleterie i czarnej niewolnicy Marie Cessette Dumas z San Domingo, syn ich potomka – generała Republiki, też Aleksandra, i jego żony Marii Ludwiki Labouret – córki prowincjonalnego mieszczanina, przychodzi na świat w Villers-Cotterêts w Pikardii. Jego ojciec, bohater kampanii włoskiej, skłócony z generałem Bonaparte podczas wyprawy do Egiptu, aż do swej śmierci w 1806 nie odzyskuje życzliwości Napoleona. W 1823 roku pełen ambicji Aleksander instaluje się w Paryżu z zamiarem zrobienia kariery dramatopisarza. Bywa na spotkaniach literacko-artystycznego salonu młodych romantyków u Charles’a Nodiera w bibliotece Arsenau. W 1831 roku jego sztuka *Antony* powoduje podobny wybuch entuzjazmu jak *Hernani* Wiktora Hugo. Ale to nie teatr, lecz powieść historyczna, której poświęca się coraz bardziej, staje się jego przeznaczeniem. W roku 1844 publikuje swe najgłośniejsze dzieła: *Trzej Muszkietierowie* i *Hrabia Monte Christo*. W nadzwyczaj obfitej twórczości literackiej korzysta z pomocy współpracowników, z których najsłynniejszym jest Auguste Maquet. Powstają kolejne słynne powieści: *Królowa Margot*, *20 lat później*, *Józef Balsamo*... Pasma sukcesów i znaczące dochody umożliwiają mu budowę pałacu Monte Christo w podparyskim Port-Marly. Rozrzutny tryb życia i rozliczni „przyjaciele” doprowadzają go do bankructwa. Jego życie jest równie dynamiczne, jak akcja jego powieści. Odbywa wiele podróży, między innymi do Rosji, z których pisze bogate relacje. W 1860 roku pomaga Garibaldiemu w zjednoczeniu Italii. Przez jego życie przewijają się liczne kobiety, ale żonaty (i rozwiedziony) jest tylko raz. Wydaje gazety, kieruje teatrem. Książkę *Biali i Niebiescy* pisze w schyłkowej fazie twórczości, w roku 1867, bez współpracowników, ale opierając się na wspomnieniach Charles’a Nodiera. Pod koniec życia mieszka u swego syna – też Aleksandra i też pisarza – koło Dieppe nad kanałem La Manche, tam też umiera. W 200-lecie urodzin z zostaje przeniesiony wielką pompą do paryskiego Panteonu.

Aleksander Dumas ojciec



BIALI I NIEBIESCY

Tom 2

Pierwsza część cyklu „Sainte Hermine”

Przełożył i przypisami opatrzył Krzysztof Jagusiak

Czterdziesta piąta publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ

Dwunasty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuły oryginału francuskiego: *Les Blancs et les Bleus*

© Copyright for the Polish translation by Krzysztof Jagusiak, 2017

24 ilustracje, w tym 2 kolorowe
(zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego
Wydawnictwa Levasseur oraz dostępnych w Bibliotece Narodowej Francji
i innych bibliotekach francuskich)

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Projekt okładki: Barbara Linda
Korekta: Andrzej Zydorczak
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2017

ISBN 978-83-65753-10-6 (całość)
ISBN 978-83-65753-12-0 (tom drugi)

Tom drugi
Część pierwsza
Osiemnasty fructidora

Rozdział I

Rzut oka na prowincję

Była noc z dwudziestego ósmego na dwudziesty dziewiąty maja 1797 roku. Po chwałebnym zakończeniu kampanii włoskiej Bonaparte otoczony przedstawicielami obcych mocarstw roztaczał wówczas z Montebello¹ blask swej potęgi. Wtedy też usunięte z weneckiej bazyliki korynckie rumaki i zdjęty z kolumny lew Świętego Marka wyruszały w drogę do Paryża². Również w tym czasie Pichegru, wydany z wojska na podstawie niejasnych podejrzeń, mianowany został przewodniczącym Rady Pięciuset, a Barbé-Marbois – przewodniczącym Rady Starszych. Natomiast drogą z Mâcon do Bourg w przyjaznym milczeniu księżycza – *per amica silentia lunae*³, jak pisał Wergiliusz, na żwawym koniu podążał kłusem jakiś jeździec. Nieco powyżej miasteczka Pollias przeskoczył – lub raczej skłonił do skoku swego wierzchowca – ponad rowem oddzielającym gościniec od uprawnych pól. Około pięciuset metrów jechał wzdłuż rzeki Veyle. Nie ryzykował tam napotkanie ani miejscowości, ani innego podróżnika. Wtedy dopiero, nie obawiając się zapewne rozpoznania ani nawet zauważenia, zrzucił z ramion płaszcz, który zsunął się na koński zad. Ruch ten odsłonił zatknięte za pas dwa pistolety i myśliwski nóż. Następnie uniósł kapelusz i otarł spocone czoło. Można było spostrzec, że podróżnym był przystojny, elegancki młodzieniec w wieku dwudziestu ośmiu lub dwudziestu dziewięciu lat, którego wyniosła mina wskazywała na gotowość odparcia siły siłą, jeśliby ktoś zechciał go zaatakować.

Pod tym względem wcale nie była przesadą ostrożność, która kazała trzymać za pasem parę pistoletów w uzupełnieniu podobnej pary tkwiącej w olstrach przy siodle. Reakcja termidoriańska, unicestwiona trzynastego vendémiaire’a w Paryżu, przeniosła się na prowincję i tutaj osiągnęła gigantyczne rozmiary. Lyon stał się jej stolicą. Z jednej strony poprzez Nîmes sięgała aż do Marsylii, a z drugiej – poprzez Bourg-en-Bresse – aż do Besançon. Dla lepszego zapoznania się z tą reakcją chętnie odesłalibyśmy naszego czytelnika do powieści *Towarzysze Jehu* lub też do *Wspomnień z Rewolucji i Cesarstwa* Charles’a Nodiera. Ale ponieważ prawdopodobnie nie ma on żadnej z tych książek pod ręką, wydaje nam się sensowne przypomnieć ją tutaj.

Nie było w tym nic dziwnego, że reakcja termidoriańska, zduszona w największym mieście Francji, obrała sobie za siedzibę drugie co do wielkości, a odnogi zapuściła w Marsylii i Besançon. Wiadomo, co po swej rewolcie wycierpiał Lyon⁴: gilotylna przestała tam już wystarczać. Collet d’Herbois i Fouché użyli kartaczy. W rezultacie niewiele było rodzin bogatszych mieszczan i szlachty, które nie postradały kogoś bliskiego. Teraz zatem wybiła godzina pomszczenia utraconego ojca, brata lub syna. Mszczono się ostentacyjnie, publicznie, w biały dzień. „To ty spowodowałeś śmierć mego syna, mego brata, mego ojca!” – mówiono denuncjatorowi i zadawano cios.

¹ *Montebello* – w istocie chodzi położoną około 20 km na północ od Mediolanu miejscowość Mombello, zwaną czasami również Montebello (nie mylić z miejscem bitwy z 9 czerwca 1800); w maju 1797 roku Bonaparte przeniósł swą kwaterę główną do położonego w Mombello barokowego pałacu, gdzie paromiesięczny pobyt bardziej przypominał życie dworu niż wojskowej kwatery.

² W 1797 roku Francuzi pozbawili Wenecję słynnych symboli: starożytnych koni znad portali bazyliki i średnio-wiecznego skrzydlatego lwa z kolumny na placu Św. Marka; wróciły one na swe miejsce w roku 1815.

³ *Per amica silentia lunae* (łac.) – przez przyjazne milczenie księżycza, cytat z *Eneidy* Wergiliusza.

⁴ W czerwcu 1793 roku w Lyonie wybuchło powstanie przeciwko rewolucji i panowaniu Konwentu, po zdobyciu miasta przez wojska republiki w październiku tego roku nastąpiły okrutne represje.

Wśród wyższych klas – pisał Nodier – zbudowano teorię zabójstwa. Na salonach dzieło się sekretami uśmiercania, które przerażałyby nawet katorżników. Bywało, że podczas gry w karty robiono przerwę na partyjkę eksterminacji i nawet sobie nie zadawano trudu, by niżąć głos, gdy mówiono o zamiarze zabicia kogoś. Kobiety, słodkie mediatorzy w zakresie wszystkich ludzkich pasji, w tych okropnych debatach zajęły ofensywne stanowisko. Od kiedy ohydne jędze przestały nosić kolczyki w kształcie gilotyny, uroczę furie – jak mawiał Corneille – nosiły sztylet zamiast szpilki. Jeśli ktoś tym przerażającym ekcesom przeciwstawiał jakieś uczuciowe zastrzeżenia, prowadzono go na teren Les Brotteaux⁵, kazano chodzić po elastycznej, uginającej się ziemi i mówiono: „Tutaj znajdują się nasi krewni”. Ach cóż za niezwykły obraz owych wyjątkowych dni, których niedefiniowalny i pozbawiony nazwy charakter można wyrazić jedynie suchymi faktami. Słowa pozostają bezradne, by oddać tę niebywałą mieszaninę najbardziej odrażających pomysłów, to połączenie nadzwyczaj eleganckich manier z nieprzejednaną wściekłością, tę nieokiełznaną ugodę pomiędzy doktrynami człowieczeństwa i aktami kanibalizmu! Jak zrozumieć te czasy, gdy więzienia nie chroniły skazańców, a przychodzący po ofiarę kat zdumiewał się, że uprzedził go morderca. Jak pojąć ten rozciągnięty w czasie drugi wrześnie, powtarzany każdego dnia przez uroczych młodzieńców po wyjściu z balu a przed udaniem się do buduaru?

Trzeba przyznać, że to, co się działo, było endemiczną monomanią⁶ – potrzebą furii i mordowania kwitnącą pod skrzydłami rewolucyjnych harpii⁷, apetytem na kradzież wyostrzonym przez konfiskaty, pragnieniem krwi roznieconym jej widokiem. Był to szal pokolenia, które karmiono, jak Achillesa, szpikiem dzikich bestii, którego zasady i normy ideałów kojarzyły się ze zbójcami Schillera⁸ lub średniowiecznymi westfalskimi wolnymi sędziami⁹. Była to cierpka i nieodparta konieczność odrodzenia społeczeństwa przez zbrodnię, która doprowadziła do jego upadku. Było to coś, co duch wiecznego odszkodowania zawsze przysyła w wyznaczonych czasach, tytanów po chaosie, Pytona¹⁰ po potopie, chmarę sępów po rzezi. To niezawodne prawo odwetu niepojętymi plagami za śmierć odpłaca śmiercią, za zwłoki żąda zwłok, bierze lichwiarski procent, a samo Pismo Święte zalicza je do skarbów Opatrzności.

Skład tych band, których cel początkowo nie był znany, zaskakiwał i przedstawiał z grubszą ową mieszaninę stanów, klas i osób, jaką spotyka się we wszystkich partiach i szajkach znamiennych dla społecznego chaosu. Ale tutaj różnicowanie było mniejsze niż gdziekolwiek indziej. Członkowie pochodzący z niższych klas społecznych nie byli pozbawieni tej powierzchowności zachowania, którą kształtują kosztowne przywary. Arystokrata z pospólstwa podążał za arystokratą z nazwiska i majątku, od rozwiązłości do rozpusty i od wysoku do wybruku, jakby dla udowodnienia, że nie ma nic łatwiejszego do naśladowania niż zły przykład. Wielu z nich pod bardzo eleganckimi manierami skrywało bardzo ohydne zepsucie, które przelało bariery przyzwoitości i wychowania. Nigdy przedtem nie było tylu morderców w jedwabnych

⁵ Les Brotteaux – obecnie dzielnica Lyonu, wówczas równina, na której 4 i 5 grudnia 1793 roku dokonano egzekucji kilkuset uczestników antyrewolucyjnego powstania.

⁶ Endemiczna monomania – występujące tylko na danym terenie chorobliwe opanowanie umysłów przez jedną myśl lub ideę.

⁷ Harpie – w mitologii greckiej skrzydlate demony zniszczenia i zemsty.

⁸ Odwołanie do dramatu *Zbójcy* Fryderyka Schillera (1759-1805).

⁹ Westfalscy wolni sędziowie – w średniowiecznych Niemczech istniały samozwańcze sądy, które najdłużej przetrwały w Westfalii, gdzie nosiły nazwę Vehmgerichte lub Veme.

¹⁰ Pyton – w mitologii greckiej smok strzegący wyroczni w Delfach.

pończochach, a ten, kto by sobie wyobrażał, że luksus obyczajów był tam przeciwwagą dla dzikości charakterów, bardzo by się pomylił. Wściekłość równie bezlitośnie opanowywała ludzi z wielkiego świata jak z prostego ludu, a śmierć zadana sztyletem eleganta wcale nie była mniej okrutna i wyrafinowana niż od noża rzeźnika.

Prześladowani ludzie najpierw pośpiesznie rzucili się do więzień, by tam szukać azylu. Kiedy to smutne schronienie przed nieszczęściem zostało zbezczeszczone jak wszystko inne, co ludzkość miała za nietykalne, jak świątynie, jak groby, administracja próbowała zapewnić więźniom bezpieczeństwo przesiedleniami. Wysyłano ich na odległość dwudziestu, trzydziestu mil od ich żon i dzieci, do ludzi, którym nie byli znani ani z nazwiska, ani z czynów, by chociaż usunąć możliwość osobistej zemsty. Nieszczęsna karawana zmieniała tylko miejsce pogrzebu. Owi współnicy śmierci przekazywali sobie żer drogami łączności między departamentami z prawdziwością wymiany handlowej. Nigdy regularność interesów nie została posunięta tak daleko jak w tej strasznej buchalterii. Nigdy w tym barbarzyńskim handlu, w którym płacono ludzkimi głowami, nie było konfliktów podczas wymiany. Natychmiast po nadejściu listu przewozowego chłodno dokonywano bilansu przychodu i wychodu. Należność płacono przed czasem, a mandat krwi wyrównywany był na okaziciela.

Był to spektakl, na wyobrażenie którego dusza się buntuje, a przecież powtarzał się on często. Proszę sobie wyobrazić jeden z tych długich skrzyniowych wozów służących do transportu cielaków do rzeźni, a na nim bezładnie upchanych ludzi z rękami i nogami związanymi powozem, z opuszczonymi i podskakującymi na wybojach głowami, z pierściami dyszącymi ze zmęczenia, rozpacz i lęku. Prawie zawsze jedyną zbrodnią tych ludzi było szalone uniesienie, które wylądowało się w słowach pogróźek. Och! Nie myślcie, że się nimi zajmowano po przywiezieniu. Nie mieli ani wolnego posiłku męczenników¹¹, ani pokutnych zaszczytów ofiary, ani nawet daremnej szansy stawienia choć przez chwilę bezcelowego oporu, jak miało to miejsce na arenach Konstancjusza¹² i Gallusa¹³! Masakra zaskakiwała znieruchomiałych. Zarzynano ich związanych, a czerwony od krwi bykowiec długo jeszcze spadał na martwe ciała, które już nic nie czuły.

Nodier widział i podał mi nazwisko siedemdziesięcioletniego starca znanego z łagodności i z owej grzeczności, która tak bardzo jest ceniona na salonach prowincji. Był jednym z tych ludzi dobrych manier, których gatunek zanika. Ludziom tym zdarzało się, że raz w życiu przyjeżdżali do Paryża, by złożyć wizytę ministrom, by uczestniczyć w zabawie i polowaniu króla. Ale dzięki wspomnieniu owego przywileju, gdy od czasu do czasu uczestniczyli w obiedzie u zarządcy prowincji, wydawali wiążące opinie na temat ważnych uroczystości i zasad etykiety. Nodier widział takiego człowieka w obecności spokojnie przyglądających się kobiet, które trzymały na rękach klaszczące dzieci. Nodier widział go i przytaczam słowa, którymi opisał to zdarzenie – „męczył swe wątłe ramię, tłukąc złotą gałką trzciny laski zwłoki, w których mordercy zapomnieli zgasić ostatnie tchnienie życia i które ostatnimi konwulsjami zdradziły swą spóźnioną agonię”.

Po tej próbie przybliżenia sytuacji w kraju, który przemierzał nasz podróżnik, przestajemy się dziwić środkiem ostrożności podjętym na czas podróży i uwadze, jaką poświę-

¹¹ W starożytnym Rzymie praktykowano zwyczaj serwowania obfitego i wykwintnego posiłku poza celami nieszczęśnikom, którzy nazajutrz ginęli na arenach cyrkowych.

¹² Konstancjusz Chlorus (250-306) – cesarz rzymski, panował od 293 roku, a z tytułem augusta od 305 roku; jego prześladowania chrześcijan w istocie ograniczały się do zamykania i burzenia kościołów.

¹³ Trebonian Gallus (206-253) – cesarz rzymski od 251 roku; prześladował chrześcijan, zaniedbywał granice, zginął z rąk własnych żołnierzy przed bitwą z pretendentem do cesarskiego tytułu Emilianem.

cał każdemu podejrzanemu zjawisku w okolicy, której zresztą zdawał się kompletnie nie znać. W istocie, po przebyciu ledwie pół mili brzegiem Veyle zatrzymał konia, uniósł się w strzemionach i pochylając się nad siodłem, usiłował przebić wzrokiem ciemność, którą zasłaniająca księżyc chmura jeszcze powiększyła. Zaczął już wątpić w znalezienie drogi bez zwrócenia się o pomoc do przewodnika bądź w Montech, bądź w Saint-Denis. Wtem jakiś niespodziewany głos, który zdawał się wydobywać z rzeki, sprawił, że zadrżał. Tymczasem ów głos bardzo serdecznym tonem zapytał:

– Czy można obywatelowi w czymś dopomóc?

– Och! Na honor, tak – odpowiedział podróżny – ale ponieważ nie mogę do ciebie podejść, nie widząc, gdzie się znajdujesz, bądź tak uprzejmy i przyjdź do mnie, skoro mnie widzisz.

Mówiąc te słowa, przykrył płaszczem pistolety i położył dłoń na kolbie jednego z nich.



Rozdział II

Podrózny

Podrózny się nie mylił. Głos dochodził od strony rzeki. Istotnie, jakiś cień wspinał się po stromiźnie nabrzeża i po chwili stanął obok głowy konia, kładąc dłoń na jego szyi. Jeździec, któremu ta niespodziewana poufałość wydała się podejrzana, cofnął konia o krok.

– Och, przepraszam, proszę darować, obywatelu – usprawiedliwiał się właściciel głosu.
– Nie wiedziałem, że nie wolno dotykać konia.

– Ależ wolno, przyjacielu – powiedział jeździec – ale w czasach, w których żyjemy, zwłaszcza w nocy, grzeczniej jest z sobą rozmawiać, zachowując pewną odległość.

– Tam do licha! Ja nie potrafię odróżnić tego, co jest grzeczne, od tego, co grzecznym nie jest. Sprawiałeś wrażenie zagubionego na drodze. Tak mi się wydawało. A ponieważ jestem pocziwym człowiekiem, więc mówię sobie: „Oto chrześcijanin, który chyba zabłądził. Pomogę mu się odnaleźć”. Przywołałeś mnie do siebie, to i jestem. Jeśli mnie nie potrzebujesz, żegnam.

– Wybacz, przyjacielu. – Jeździec gestem powstrzymał rozmówcę. – Cofnięcie konia było niezamierzone. Naprawdę potrzebuję twojej pomocy i możesz mi wyświadczyć przysługę.

– O co chodzi? Mów... Och, dajmy spokój, nie chowam urazy.

– Pochodzisz stąd?

– Jestem z Saint-Rémy, tu w pobliżu. Nawet stąd widać dzwonnice.

– Zatem znasz okolice?

– No oczywiście. Zajmuję się łowieniem ryb. W promieniu dziesięciu mil nie ma bieżącej wody, w której bym nie zarzucił sieci.

– A czy znasz opactwo Seillon?

– Masz! Czy znam opactwo Seillon, oczywiście, że znam! Ale nie powiem nic o mnichach.

– A dlaczegoż to nie możesz nic powiedzieć o mnichach?

– Bo w 1791 roku zostali stamtąd przepędzeni. Oto dlaczego!

– Do kogo więc należy klasztor?

– Do nikogo.

– Jak to: do nikogo?! Czyż jest we Francji jedna ferma, jeden klasztor, dziesięć tysięcy akrów lasu lub trzy tysiące akrów ziemi, które nie należałyby do nikogo?

– Należy do Republiki, czyli tak jakby do nikogo.

– To Republika nie dba o dobra, które skonfiskowała?

– No cóż! A czy ma na to czas? Republika ma ważniejsze sprawy na głowie.

– Więc czymże się zajmuje?

– Musi się odrodzić.

– Faktycznie, odnawia swoją trzecią część. Czyżbyś się tymi sprawami interesował?

– Och! Po trosze, w wolnych chwilach. Nasi sąsiedzi z Jury wysłali jej generała Pichegru, a to nie byle kto.

– Tak.

– No przecież. Sprawy zaczęły nabierać powagi. Ale ja się tu rozgadałem, a ty przez to tracisz czas! Choć prawdę mówiąc, jeśli zmierzasz do Seillon, to nie potrzebujesz się spieszyć.

- A to dlaczego?
- Do diabła, ponieważ w Seillon nie ma nikogo.
- Nikogo?
- Z wyjątkiem duchów zmarłych mnichów. Ale ponieważ te nie pojawiają się przed północą, więc masz jeszcze czas.

- Jesteś pewny, przyjacielu – upierał się podróżny – że nikogo nie ma w opactwie Seillon?

Mówiąc to, położył nacisk na słowo „nikogo”.

- Przechodziłem tam jeszcze wczoraj, zanosząc ryby do zamku Noires-Fontaines dla pani de Montrevel. Nie widziałem psa z kulawą nogą.

Po chwili dodał z naciskiem:

- Oni wszyscy byli kapłanami Baala¹⁴, więc nie ma czego żałować.

Podróżny zadrżał jeszcze wyraźniej niż za pierwszym razem.

- Kapłanami Baala? – powtórzył i utkwiał przenikliwe spojrzenie w rybaka.

- Tak, i... no chyba że przychodzisz od króla Izraela, którego imię zapomniałem.

- Od króla Jehu, czy tak?

- Nie całkiem jestem pewien. To król wyświęcony przez proroka o imieniu... o imieniu... Jakże się zwał prorok, który wyświęcił króla Jehu?

- Elizeusz¹⁵ – odpowiedział bez wahania podróżny.

- No właśnie. Lecz dał mu święcenia pod jednym warunkiem. Jakim? Proszę mi pomóc.

- Pod warunkiem, że ukarze zbrodnie domu Achaba¹⁶ i Izebel¹⁷.

- Tam do licha! Trzeba było mówić od razu.

Rybak wyciągnął dłoń do przybysza. Podając sobie rękę, obaj wykonali ostatni znak rozpoznawczy, który żadnemu z nich nie pozostawił najmniejszej wątpliwości, że należą do tego samego stowarzyszenia. A przecież nie zadali sobie ani jednego pytania dotyczącego ich osobowości lub wykonywanego zadania, jeden – udając się do opactwa Seillon, drugi – wyciągając z wody swe sieci i węćcierze. Młody rybak dodał tylko:

- Jestem zawiedziony koniecznością pozostawiania tutaj z rozkazu przełożonego. W przeciwnym razie z przyjemnością posłużyłbym ci za przewodnika. Ale do klasztoru mogę powrócić dopiero po otrzymaniu umówionego znaku. Zresztą teraz już nie powinienes się zgubić. Widzisz te dwa ciemne obiekty, z których jeden jest większy od drugiego? Ten większy to miasto Bourg, a mniejszy – wioska Saint-Denis. Przejeżdż w równej odległości pomiędzy nimi i zachowaj ten sam kierunek aż do koryta rzeczki Reysseuse. Przeprawisz się przez nią bez trudu, ledwo sięga koniowi do kolan. Tam spostrzeżesz przed sobą wielką czarną kurtynę. To las.

- Dziękuję – przerwał podróżny. – Gdy już będę na skraju lasu, wiem, co mam dalej robić.

- Nawet jeśli z lasu nie będzie odpowiedzi na twój sygnał?

- Tak.

- No dobrze! Zatem naprzód i szczęśliwej podróży.

¹⁴ Baal – semickie bóstwo, występuje w Biblii jako obiekt bałwochwalstwa.

¹⁵ Elizeusz (IX wiek p.n.e.) – biblijny prorok, uczeń Eliasza, wślawił się wieloma cudami.

¹⁶ Achab – król Izraela (ok. 873-854 p.n.e.), w Biblii symbol niegodziwości, za namową żony Izebel wprowadził kult Baala.

¹⁷ Izebel – postać biblijna, żona króla Achaba, zwalczała proroków, zginęła wyrzucona z okna pałacu, a psy pożarły jej ciało.

Dwaj młodzi ludzie ponownie uścisnęli sobie dłonie i rybak równie szybko szedł ze skarpy, jak się na nią wdrapał. Jeździec machinalnie wyciągnął szyję, by zobaczyć, co się z nim stało, ale rybak zniknął. Wówczas popuścił koniowi cugle, a ponieważ księżyc ukazał się ponownie, oświetlając pozostającą do przebycia łąkę, więc ruszył szybkim kłusem i wkrótce znalazł się między Bourg i Saint-Denis. Usłyszał jednocześnie bijące w dwóch miejscowościach zegary. Naliczył jednaście uderzeń.

Po przekroczeniu traktu z Lyonu do Bourg, podróżny znalazł się, zgodnie z tym, co powiedział rybak, na brzegu niewielkiej rzeczki. Zrobiwszy dwa kroki, jego koń przedostał się na drugi brzeg. Teraz rozciągała się przed nim równina, a w odległości około dwóch kilometrów majaczyło czarne pasmo, które – jak go poinformowano – było lasem. Ruszył z kopyta wprost ku niemu.



Za dziesięć minut wjechał na wiejską drogę, która biegła wzdłuż drzewostanu. Zatrzymał się na chwilę i rozejrzał wokół. Nie wahał się bynajmniej z daniem umówionego sygnału, ale wolał mieć pewność, że był sam. Czasami noc nasycona jest tak głęboką ciszą, że nawet najdzielniejszy człowiek to respektuje, jeśli nie jest zmuszony do jej zakłócenia. Zatem, jak powiedzieliśmy, nasz podróżnik przez chwilę obserwował i nasłuchiwał, ale niczego nie spostrzegł ani nic nie usłyszał. Wtedy przyłożył do ust rękojeść swego biczka i za jego pomocą trzykrotnie zagwizdał. Pierwszy i ostatni gwizd były mocne i zdecydowane, natomiast środ-

kowy – drżący jak sygnał majstra na budowie. Dźwięk zatracił się w leśnej głębinie, ale nie odpowiedział mu żaden inny, ani podobny, ani odmienny.

Podczas gdy nasz podróżny nasłuchiwał, zegar w Bourg, a z nim inne w sąsiednich miejscowościach wybiły północ. Podróżny raz jeszcze powtórzył sygnał, ale nadal odpowiadała mu cisza. Wówczas zdecydował ruszyć dalej. Posuwał się wiejską drogą aż do miejsca, w którym dołączała do niej inna podobna drożyną, tak jak w literze T pionowa kreska dołącza do poziomej. W tę drogę skręcił i śmiało zapaścił się w las. Po dziesięciu minutach dotarł do skrzyżowania, na którym obrał kierunek na lewo i za pięć minut wyjechał z lasu.

Jakieś dwieście kroków przed nim majaczyła ciemna bryła, która niewątpliwie była celem jego podróży. Zresztą zbliżając się, na podstawie pewnych szczegółów musiał się upewnić, że faktycznie miał przed sobą stary klasztor. Zatrzymał się dopiero przed wielką bramą zwieńczoną trzema posągami: Najświętszej Marii Panny, Pana Naszego Jezusa Chrystusa i świętego Jana Chrzciciela. Posąg Matki Boskiej umieszczony tuż nad bramą stanowił najwyższy punkt trójkąta. Dwa pozostałe znajdowały się niżej, na poprzecznej belce tworzącej ramię kamiennego krzyża, w którym umieszczone były masywne, dębowe, podwójne wieższe. Miały one więcej szczęścia niż niektóre inne elementy fasady, a zwłaszcza okiennice pierwszego piętra. Wrota zdawały się kpić z usiłowań czasu.

– To tutaj – rzekł do siebie podróżnik. – A teraz, który z trzech posągów jest świętym Janem?



Rozdział III

Klasztor Seillon

Posąg, którego szukał podróżny, mieścił się w niszy po prawej stronie bramy wjazdowej. Gdy go rozpoznał, przysunął konia do muru i wspiął się w strzemionach. Podstawa posągu znalazła się w zasięgu jego ręki. Pomiędzy postumentem a ścianą niszy istniał niewielki odstęp. Wsunął tam dłoń, wyczuł pierścieniowy uchwyt i pociągnął za niego. Bardziej odgadł, niż usłyszał brzęczenie dzwonka. Powtórzył tę czynność trzykrotnie. Po trzecim razie nadstawił ucha. Miał wrażenie, że posłyszał odgłos zbliżających się do bramy niespokojnych kroków.

- Kto dzwoni? – spytał jakiś głos.
- Ten, który przychodzi od proroka – odparł podróżny.
- Jakiego proroka?
- Tego, który swój płaszcz pozostawił uczniowi.
- Jak on się nazywa?
- Elizeusz.
- Jakiemu królowi synowie Izraela mają być posłuszni?
- Jehu.
- Jaki dom mają wytępić?
- Dom Achaba.
- Jesteś prorokiem czy uczniem?
- Jestem uczniem, ale przychodzę, by zostać prorokiem.
- Zatem bądź pozdrowiony w domu Pana!

Ledwie przebrzmiały te słowa, gdy żelazna sztaba blokująca bramę obróciła się, nie czyniąc hałasu, nieme rygle zamków przesunęły się bez zgrzytu i wieże rozwarły się bezszelstnie jakby za sprawą magii.

Jeździec na koniu zniknął pod sklepieniem wjazdu. Brama zamknęła się za nim. Człowiek, który bardzo powoli ją otworzył, bardzo szybko zamknął i podszedł do stojącego już na ziemi przybysza. Ten spojrzał z zaciekawieniem na odźwiernego. Miał on na sobie długą białą szatę zakonu kartuzów¹⁸. Głowę całkowicie zakrywał kaptur. Ujął wprawdzie konia za cugle, ale raczej by nieco pomóc, a nie jak służący. Podróżny właśnie odpinał swą walizę i wyciągał pistolety z olster, by zatknąć je za pas obok tych, które już tam tkwiły. Rozejrzał się wokół, a nie widząc żadnego światła i nie słysząc żadnego hałasu, spytał:

- Czyżby towarzysze byli nieobecni?
 - Są na wyprawie – odparł zakonnik.
 - Powrócą tej nocy?
 - Spodziewałem się ich tej nocy, ale prawdopodobnie powrócą dopiero następną.
- Podróżny chwilę się zastanawiał. Ta nieobecność chyba nie była mu na rękę.
- Nie mogę się zatrzymać na mieście – oznajmił. – Ryzykowałbym, że zwrócę na siebie uwagę, a nawet zostanę rozpoznany. Czy mogę tutaj poczekać na towarzyszy?
 - Tak, jeśli dasz słowo honoru, że nie będziesz próbował stąd wychodzić.
 - Daję słowo.

¹⁸ Zakon kartuzów – męski zakon o bardzo surowej regule, założony w 1084 roku przez św. Brunona z Kolonii, nazwa pochodzi od macierzystej siedziby – La Grande Chartreuse koło Grenoble.

Tymczasem w ciemności zarysowała się szata drugiego mnicha, coraz bardziej bielejąc, w miarę jak zbliżał się do rozmawiających. Ten niewątpliwie był towarzyszem drugorzędnym, bo pierwszy zakonnik rzucił mu cugle, zlecając raczej w formie rozkazu niż prośby, by zaprowadził konia do stajni. Następnie, wyciągając rękę do podróznego, wyjaśnił:

– Rozumiesz, dlaczego nie zapalamy świateł... Ten klasztor uważany jest za opuszczony lub zamieszkiwany wyłącznie przez duchy. Oświecenie by nas zdradziło. Uchwycić moją rękę i chodź za mną.

Podróżny zdjął rękawicę i ujął dłoń mnicha. Była to delikatna dłoń, nieprzyzwyczajona do pracy, która pozbawiłaby ją arystokratycznego pochodzenia. W sytuacji, w której podróżny się znalazł, wszystko mogło stanowić wskazówkę. Miło było wiedzieć, że miał do czynienia z człowiekiem odpowiedniego stanu, toteż postępował za nim z pełnym zaufaniem. Po kilku zakrętach uczynionych w całkiem ciemnym korytarzu weszli do okrągłego, oświetlonego pomieszczenia. Była to jadalnia towarzyszy. Pomieszczenie oświetlało kilka świec umieszczonych w zawieszonych na ścianach kandelabrach. W wielkim kominku płonął ogień podsycany suchym drewnem, które prawie nie wydzielało dymu.

Zakonnik wskazał podróznemu krzesło i oznajmił:

– Jeśli nasz brat jest zmęczony, niech odpocznie. Jeśli nasz brat jest głodny, dostanie posiłek. Jeśli nasz brat pragnie snu, zostanie zaprowadzony do łóżka.

– Wszystko to chętnie przyjmuję – odparł podróżny, rozprostowując swe eleganckie i zarazem energiczne kończyny – krzesło, bo jestem zmęczony, posiłek, bo jestem głodny, i łóżko, bo potrzebuję snu. Ale, najdroższy bracie, za pozwoleniem, na każdą rzecz przyjdzie jej kolej.

Rzucił na stół swój kapelusz z szerokim rondem i odgarniając dłonią opadające włosy, odsłonił szerokie czoło, piękne oczy i pełną pogody twarz. Wszedł mnich, który zaprowadził konia do stajni, a na pytanie konfratry odpowiedział, że zwierzę ma świeżą podściółkę i napelniony paszą żłób. Następnie, otrzymawszy takie polecenie, rozciągnął obrus na części stołu, stawiając na nim butelkę wina, szklankę, zimnego kurczaka, pasztet oraz nakrycie z nożem i widelcem.

– Zapraszam na posiłek, mój bracie – zwrócił się zakonnik do podróznego, wskazując ręką zastawiony stół.

– Natychmiast – brzmiała odpowiedź.

Nie rozstając się z krzesłem, podróżny przysunął się do stołu i zabrał do posiłku. Zaczął od kurczaka, przynosząc na swój talerz najpierw udko, a potem skrzydełko. Po kurczaku przyszła kolej na pasztet, którego zjadł plaster, zapijając małymi haustami i łąmiąc wino, jak mawiają smakosze. Przez cały ten czas zakonnik stał nieruchomo kilka kroków od niego. Mnich nie był ciekawski, a podróżny był wygodniały. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem. Po skończonej uczcie podróżny wyciągnął z kieszeni zegarek.

– Druga godzina – powiedział do siebie. – Do świtu pozostały jeszcze dwie godziny.

Następnie, zwracając się do mnicha, spytał:

– Jeśli nasi towarzysze nie wrócą tej nocy, możemy się ich spodziewać dopiero nocy następnej, prawda?

– Prawdopodobnie – odparł zakonnik. – Z wyjątkiem najwyższej konieczności nasi bracia nie podróżują w ciągu dnia.

– W takim razie – powiedział podróżny – z tych dwóch godzin jedną poświęcę na czekanie. Jeśli do trzeciej nad ranem nasi bracia nie powrócą, udam się na spoczynek, a do tego czasu, jeśli masz, bracie, jakieś sprawy, proszę się mną nie przejmować. Wy jesteście zakonem milczącym, a ja rozmowny jestem tylko z kobietami. Ale tutaj ich nie ma?

– Nie – potwierdził kartuz.

– Zatem jeśli masz coś do zrobienia, zajmij się tym, a mnie pozostaw z moimi myślami.

Zakonnik skłonił się i wyszedł, pozostawiając przybysza samego, ale nim to uczynił, nie omieszkał postawić na stole drugiej butelki wina. Biesiadnik ukłonem podziękował mnichowi za jego uprzejmość i kontynuował ucztę, popijając małymi łykami wino i przekąszając małymi kawałkami skórki pasztetu.

– Jeśli nasi kartuzi tak zazwyczaj jadają – mruzczał – nie będę nad nimi ubolewał. Czerwony burgund na co dzień, pularda¹⁹ (prawdą jest, że to regionalna specjalność) i pasztet z bekasów²⁰... Ale jednak brakuje deseru.

Ledwie wyraził to życzenie, pojawił się mnich posługujący i koniowi, i kawalerzyście, niosąc na półmisku plaster wspaniałego sera z Sassenage naznaczonego zielonymi kropkami. Jego wynalezienie przypisywane jest wróżce Meluzynie²¹. Nie będąc wyznawcą obżarstwa, podróżny zdawał się jednak, jak widzieliśmy, wrażliwy na kompozycję kolacji. Wprowadzie nie powiedział jak Brillat-Savarin²²: „Posiłek bez sera to jak jednooka kobieta”, lecz niewątpliwie tak myślał.

Godzina minęła na opróżnianiu butelki burgunda i zbieraniu okruszyn sera za pomocą końca noża. Mnich pozostawił przybysza sobie samemu, ten mógł więc swobodnie i dowolnie poświęcić się temu podwójnemu zajęciu. Wyciągnął zegarek: była trzecia. Rozejrzał się za jakimś dzwonkiem, lecz niczego takiego nie znalazł. Już miał zamiar zastukać nożem o szklankę, ale stwierdził, że byłoby to przejawem pewnej niegrzeczności wobec zacnych mnichów, którzy tak elegancko go przyjęli.

W rezultacie aby dotrzymać danego sobie słowa i położyć się do łóżka, pozostawił na stole swe uzbrojenie, by nie budzić podejrzeń o nieczne zamiary, i z odkrytą głową, jedynie z myśliwskim nożem u boku zagłębił się w korytarz, którym tutaj przyszedł. W połowie drogi napotkał znanego mu już zakonnika.

– Bracie – zwrócił się do podróżnego mnich – właśnie otrzymaliśmy dwa sygnały oznajmiające nam, że towarzysze się zbliżają. Będą tutaj za pięć minut. Szedłem cię powiadomić.

– Doskonale! – ucieszył się podróżny. – Wyjdźmy im naprzeciw.

Zakonnik nie miał żadnych zastrzeżeń. Odwrócił się i skierował do wyjścia, a po chwili był już na dziedzińcu. Podróżny postępował za nim. Drugi mnich otwierał dwuskrzydłową bramę, jak parę godzin temu dla podróżnego. Przez otwarte wierzaje łatwo było posłyszeć galop licznych, bardzo szybko zbliżających się koni.

– Przejazd! Przejazd! – żywo zawołał mnich, ręką odsuwając podróżnego na bok i przyciskając go do ściany.

Faktycznie, w tej samej chwili kłęb ludzi i koni z hałasem gromu wtoczył się pod wjazdowe sklepienie. Przez moment podróżny sądził, że towarzysze są ścigani. Mylił się.



¹⁹ *Pularda* – młoda, w specjalny sposób tuczona kura, także zrobiona z niej potrawa.

²⁰ *Bekas* – ptak o długim dziobie, występujący na podmokłych terenach.

²¹ *Meluzyna* – popularna w średniowiecznych legendach wróżka, mająca swój rodowód w mitologiach starożytnych z kręgu kultury śródziemnomorskiej.

²² Jean Anthelme *Brillat-Savarin* (1755-1826) – francuski prawnik, pisarz i światowej sławy gastronom, autor dzieła *Fizjologia smaku*.

Rozdział IV

Zdrajca

Brama się zamknęła. Dzień jeszcze nie nastał, ale noc robiła się coraz bledsza. Podróżny z niejakim zdumieniem spostrzegł, że towarzysze przywieźli z sobą więźnia. Miał związane na plecach ręce i przytroczonej został do siodła konia, którego cugle trzymało dwóch towarzyszy. Trzej jeźdźcy wjechali przez bramę jednocześnie. Galopujące konie poniosły ich aż w głąb dziedzińca. Pozostali towarzysze wjechali dwójkami i na dziedzińcu otoczyli czołową trójkę. Wszyscy zsiadli z koni. Więźnia, który nadal pozostawał w siodle, również zszadono z konia.

– Chcę rozmawiać z kapitanem Morganem – zwrócił się podróżny do towarzyszącego mu mnicha. – Przede wszystkim trzeba go poinformować, że przybyłem.

Mnich podszedł do szefa i coś mu szepnął do ucha. Ten natychmiast zbliżył się do podróżnego.

– Od kogo pan przybywa? – spytał.

– Czy mam odpowiedzieć według zwykłej formuły – padło pytanie zamiast odpowiedzi – czy też normalnie, od kogo faktycznie przybywam?

– Skoro jest pan tutaj, to znaczy, że formalnościom stało się zadość. Proszę powiedzieć, kto pana przysłała.

– Przysłała mnie generał Okrągła Głowa.

– Ma pan od niego list?

– Oto on.

Podróżny sięgnął dłonią do kieszeni, ale Morgan go powstrzymał.

– Później – powiedział. – Najpierw musimy się zająć osądzeniem i ukaraniem zdrajcy. Zaprowadźcie więźnia do sali obrad.

W tym momencie rozległ się galop kolejnej grupy jeźdźców. Morgan nadstawił ucha.

– To nasi bracia – stwierdził. – Otworzyć bramę!

Rozwarto podwoje.

– Zatrzymajcie się! – krzyknął Morgan.

Grupka czterech jeźdźców wjechała na klasztorny dziedziniec równie szybko jak pierwsza.

– Macie więźnia? – spytał jej szef.

– Tak – odpowiedzieli chórem towarzysze Jehu.

– A wy – zapytał Morgan – czy macie protokół?

– Tak – odparła nowo przybyła czwórka.

– No to wszystko w porządku – stwierdził Morgan. – Sprawiedliwości stanie się zadość.

Oto co się przydarzyło.

Jak już powiedzieliśmy, kilka band znanych pod nazwą „Towarzyszy Jehu” lub „Mścicieli”, albo i pod obydwoma naraz, działało w okolicach od Marsylii po Besançon. Jedna z nich miała bazę w okolicach Awinionu, inna na Jurze, a jeszcze inna, o której tu mowa, jak widzimy – w klasztorze Seillon.

Ponieważ wszyscy młodzi ludzie wchodzący w skład tych band należeli do miejscowych rodzin, więc po każdej zaplanowanej i wykonanej akcji, niezależnie od tego, czy zakończyła się sukcesem, czy porażką, rozpraszali się i każdy wracał do domu. Kwadrans później niedawny rabuś dylizansu w przechylonym na bok kapeluszu, w binoklach na nosie, z laseczką

w dłoni spacerował po mieście, pytając o nowiny i dziwiąc się niewiarygodnej beczelności tych ludzi, dla których nic nie było nietykalne, nawet pieniądze dyrektoriatu. Bo jakże podejrzewać o uprawianie rozboju młodzieńców, z których jedni byli bardzo bogaci, inni należeli do bardzo dystygnowanych rodzin lub też powiązani byli z ludźmi piastującymi najwyższe stanowiska w mieście? A nawet jeśli ich podejrzewano, nikt nie odważył się głośnić tego publicznie.

Tymczasem rząd był zdecydowany skończyć z owym procederem zmiany kierunku transportu swych pieniędzy, które zamiast do Paryża trafiały do Bretanii, by zasilić kasę szuanów, a nie kasę dyrektorów. Postanowiono więc pokonać nieprzyjaciela chytryością. Do jednego z przewożących pieniądze dyliżansów wsiadło siedmiu lub ośmiu żandarmów przebranych za mieszczan. Ich karabiny i pistolety już wcześniej umieszczono w powozie. Otrzymali wyraźny rozkaz wzięcia żywca jednego z rozbójników. Całą akcję przygotowano i wykonano tak zręcznie, że Towarzysze Jehu niczego nie podejrzewali. Pojazd nieróżniący się niczym od innych, wypełniony mieszczanami, wtoczył się w wąwóz Cavaillon, gdzie został zatrzymany przez ośmiu zamaskowanych mężczyzn. Dyliżans odpowiedział intensywnym ogniem. Z wnętrza pojazdu posypał się grad kul. Towarzysze Jehu zrozumieli podstęp, a ponieważ unikali bezużytecznej walki, odskoczyli galopem od dyliżansu i wkrótce zniknęli, lecz któraś z kul strzaskała udo koniowi jednego z uciekających. Wierzchowiec, padając, przygniótł jeźdźca, ów nie zdążył na czas się wyswobodzić i został pojmany przez żandarmów. W ten sposób osiągnięto podwójny cel misji: ocalono rządowe pieniądze i zaaresztowano jednego z tych, którzy zamierzali je ukraść.

Podobnie jak średniowieczni wolni sędziowie, jak iluminaci z XVIII wieku, jak nowocześni masoni, Towarzysze Jehu poddawali nowo przyjmowanych członków okrutnym próbom i wymagali od nich składania straszliwych przysięg. Jedna z nich zakazywała wydawania swoich towarzyszy nawet podczas najgorszych tortur. Gdyby słabość przemogła, gdyby nazwisko współnika wymknęło się z ust więźnia za cenę ułaskawienia lub złagodzenia kary, każdy z towarzyszy miał prawo wbić sztylet w serce zdrajcy.

Więzień pojmany na drodze z Marsylii do Awinionu, który w stowarzyszeniu nosił imię Hektor, a naprawdę nazywał się de Fargas, bardzo długo opierał się zarówno groźbom, jak i obietnicom. W końcu jednak, nie mogąc dłużej znieść więzienia, udrczony najgorszą z tortur – brakiem snu – uległ, złożył zeznania i wydał swych współników.

Lecz gdy tylko sprawa została ujawniona, sędziowie zostali zasypani taką ilością pogroźek, zarówno listownych jak i werbalnych, że postanowiono przeprowadzić proces w innym regionie Francji. Wybrano do tego celu małe miasteczko Nantua położone na skraju departamentu Ain. Ale w tym samym czasie, gdy więźnia przewożono z zachowaniem wszelkich środków ostrożności do Nantui, Towarzysze Jehu w klasztorze Seillon otrzymali informację o zdradzie i o transportowaniu zdrajcy.

Do was – pisano w liście – najbardziej oddanych braci zakonu, do waszego szefa Morgana, najodważniejszego i najdzielniejszego z nas wszystkich, należy ratowanie swych towarzyszy poprzez zniszczenie obciążających ich protokołów oraz przez przykładne i straszne ukaranie tego, który zdradził. Powinien zostać osądzony, skazany, zasztyletowany i wystawiony na widok publiczny ze sztyltem tkwiącym w jego piersi.

Morgan był właśnie w trakcie wypełniania tej ponurej misji.

Z dziesięcioma towarzyszami wybrał się do Nantui. Sześciu z nich, zakneblowawszy wartownika, zastukało do drzwi więzienia i przystawiając pistolet do głowy dozorca, zmusiło go, by wpuścił ich do środka. Gdy już znaleźli się w więzieniu, zażądali wskazania celi Fargasa. Dozorca z więziennym strażnikiem zaprowadzili ich do niego. Towarzysze zamknęli obydwo w celi więźnia, a samego Fargasa związali, posadzili na luzaku, którego mieli z sobą, i odjechali galopem.

W tym samym czasie czterej pozostali pochwycili sądowego kancelistę i zmusili go, by ich zaprowadził do kancelarii. Miał klucz od niej, bo czasami z powodu nawału pracy spędzał w kancelarii całe noce. Napastnicy zabrali wszystkie akta sprawy i protokoły przesłuchań, zawierające zeznania podpisane przez oskarżonego. Następnie, by ocalić kancelistę, który błagał ich o litość i w istocie nie stawiał specjalnego oporu, choć pewnie mógłby to uczynić, opróżnili ze dwadzieścia kartonów i podpalili zawartość, zamykając z powrotem drzwi kancelarii. Klucz oddali uwolnionemu kanceliście, który wrócił do siebie. Podobnie jak ich towarzysze, popędzili galopem, unosząc akta procesu i pozostawiając kancelarię na pastwę ognia.

Nie trzeba dodawać, że podczas akcji wszyscy byli zamaskowani.

Oto dlaczego druga grupa, wjeżdżając na dziedziniec klasztoru, wołała: „Macie więźnia?” i dlaczego pierwsza, odpowiedziawszy: „Tak”, pytała: „A wy czy macie protokół?”. I oto dlaczego po otrzymaniu twierdzącej odpowiedzi Morgan oznajmił tym głosem, który nie spotykał się nigdy ze sprzeciwem: „No to wszystko w porządku. Sprawiedliwości stanie się zadość”.



Rozdział V

Sąd

Więzień był młodzieńcem w wieku dwudziestu dwóch lub dwudziestu trzech lat, wyglądającym bardziej na kobietę niż na mężczyznę, tak był bladej i szczupły. Miał odkrytą głowę, a na sobie jedynie koszulę, spodnie i buty na nogach. Towarzysze zabrali go z celi tak, jak był ubrany, nie pozostawiając mu ani chwili.

W pierwszej chwili pomyślał, że odzyska wolność. Ci, którzy wdarli się do jego celi, byli Towarzyszami Jehu, to nie ulegało wątpliwości, czyli ludźmi podzielającymi jego światopogląd i należącymi do tej samej organizacji. Ale gdy związano mu ręce i gdy w otworach masek spostrzegł błyski w oczach, zrozumiał, że dostał się w ręce kogoś o wiele groźniejszego niż sędziowie republiki. Pojął, że znalazł się w mocy tych, których wydał, i że nie może oczekiwać litości od współników, którym gotował zgubę.

Przez całą drogę nie zadał ani jednego pytania i nikt się też do niego nie odezwał. Pierwsze słowa, jakie usłyszał z ust swoich sędziów, zabrzmiały w klasztorze. Był bardzo bladej i jedynie ta bladej zdradzała stan jego uczuć.

Na rozkaz Morgana fałszywi mnisi przeszli przez krążganek. Więzień szedł na przedzie pomiędzy dwoma towarzyszami, z których każdy dzierzył w dłoni pistolet.

Przekroczywszy krążganek, znaleźli się w ogrodzie. Procesja dwunastu mnichów maszerujących w mroku miała w sobie coś przerażającego. Zbliżyli się ku wejściu do cysternej. Jeden z towarzyszy prowadzących więźnia odsunął kamień, pod którym znajdowała się rączka w kształcie pierścienia. Za jej pomocą uniesiono płytę zamykającą wejście na schody wiodące do podziemia.

Więzień przez chwilę się wahał, otwór do podziemia kojarzył się z zejściem do grobu. Dwaj eskortujący go mnisi poszli przodem. Z kamiennej szczeliny przy schodach wydobyły dwie zatknięte tam pochodnie, służące do oświetlania drogi tym, którzy zamierzali się zagłębić pod ciemne sklepienia. Używając krzesiwa, zapalili łuczycywa i odezwali się tylko jednym słowem:

– Schodzimy!

Więzień poszedł za nimi. Pozostali mnisi też zeszli do podziemia. Tam po trzech lub czterech minutach marszu dotarli do kraty. Jeden z mnichów wyciągnął z kieszeni klucz i ją otworzył.

Znaleźli się w grobowcu. W głębi krypty widniały drzwi do dawnej podziemnej kaplicy, z której Towarzysze Jehu uczynili swą salę obrad. Pośrodku mieścił się stół nakryty czarnym płótnem. Dwanaście rzeźbionych stalli²³, w których kartuzi zasiadali podczas pogrzebowych nabożeństw, przylegało do ścian po obu stronach kaplicy. Na stole znajdował się kałamarnica, kilka piór i zeszyt. Ze ściany wystawały dwa żelazne czopy, jak dwie ręce przygotowane do uchwycenia pochodni. To w nich umieszczono przyniesione łuczycywa.

Dwunastu mnichów zasiadło w stallach. Więźnia posadzono na taborecie ustawionym przy krańcu stołu. Przy jego przeciwnym końcu stanął podróżny, jedyny, który nie nosił zakonnej szaty i nie był zamaskowany. Głos zabrał Morgan:

²³ *Stalle* – w miejscach sakralnych przeznaczone dla duchownych ławy z obudowanymi klęcznikami i wysokimi oparciami, często bogato zdobione.